

Kirył Bułyczow

Antybohater

Iwan Degustatow szedł przez wiosenny las; liście brzoź jeszcze się nie rozwinęły i ostrymi końcami zwisały ku ziemi jak kokony motyli. Z ciemnego starego igliwia wyglądały jasne listki. Na końcach świerkowych gałęzi stroszyły się grube żółtawe piątki. Gdy je zerwać i rozetrzeć w palcach, okaże się, że składają się one z miękkich wonnych igiełek. Ptaki krzątały się i śpiewały, przywykając do wiosennego słońca.

- Ech - powiedział Degustatow do skowronka śpiewającego na gałęzi. - Wykorzystujesz fakt, że robotnicy z domu wczasowego zrobili ci domek i odpoczywasz. - Potem uśmiechnął się chytrze i zażartował: - Zamiast śpiewać wzięłyś się lepiej do roboty, zbudował gniazdo towarzyszowi, który domku nie dostał.

Skowronek przechylił łepkę i popatrzył na Degustatowa z powątpiewaniem.

- Żartuję - wyjaśnił mu Degustatow. - Śpiewaj sobie na zdrowie. Jesteś ptakiem, taka twoja praca.

Skręcił na wydeptaną przez wczasowiczów ścieżkę, ścieżka była pokryta starymi liśćmi i gdyby wczasowicze w tym roku nie przyjechali, zarosłaby trawą. Ale wczasowicze przyjadą, i to już niedługo. Za tydzień autobusem zaczną przyjeżdżać na zasłużony wypoczynek mieszkańcy pobliskiego Wielkiego Guslaru i wtedy Degustatow na serio weźmie się za swoje dyrektorskie obowiązki. Będzie pilnował, żeby wszyscy mieli czyste prześcieradła, żeby nie wnosili do stołówki alkoholu, wycierali nogi przy wejściu i nie zapraszali znajomych na nocleg.

Nachylił się, podniósł pustą puszkę, leżącą tu od zeszłego roku. Puszka była zardzewiała, ale zachowała się na niej etykieta: Szproty w sosie pomidorowym. Obok powinna leżeć butelka, tak się przynamniej zazwyczaj dzieje. Chyba że ktoś ją zabrał, żeby sprzedać w sklepie. Nie, jednak leżała, teraz była w niej woda i igliwie. Puskę Degustatow schował pod krzakami, żeby nie psuła pejzażu, a pustą butelkę wsunął do kieszeni spodni. Dbanie o ekologię okolicy było jego obowiązkiem.

Las stał się gęstszy. Tutaj, za niziną, zaczynały się pagórki porośnięte świerkami. Nazywano je Guslarską Szwajcarią; takich miejsc wokół miasta jest wiele. Pod pagórkami czasem odpoczywali turyści. Tam też mogły leżeć różne rzeczy. Degustatow nie uważał się za skąpca, ale był oszczędny, cenił każdą ciężko zapracowaną kopiejkę. Jeżeli było trzeba, bez wahania poświęcał kilka rubli, żeby posiedzieć z przyjacielem i pogadać, ale sobie nie pobrażał w żadnym razie.

Przedarł się przez czeremchę, całą w pąkach, i przekroczył strumyk po zgniłej kłodzie. W strumyku znalazł jeszcze jedną butelkę, ale wyszczerbioną. Wrzucił ją w czeremchę i wąską dróżką wszedł na wzgórze. Powietrze było świeże, aromatyczne i Degustatowowi zrobiło się tak lekko na sercu, że aż zachciało mu się podrzucić znaną butelkę prosto w niebo.

W poprzek ścieżki leżało zwalone drzewo, wielkie i sękaty. Pamiętał je - rosło zawsze na szczycie wzgórza, wyższe od innych.

- Ojoj - powiedział na głos. - Ot, i koniec na ciebie przyszedł. Nie myślałem, że tak szybko podmyją cię wiosenne wody.

Drzewo musiało upaść niedawno, młode listki nie zdążyły jeszcze zwiędnąć. Brakowało tylko traktora i dobrej drogi dojazdowej, można by było wtedy przewieźć drzewo na teren domu wczasowego. Postanowił poprosić leśnika, żeby, po odpiłowaniu gałęzi i korzeni, dali pień domowi wczasowemu. Będzie można z niego zrobić stół i miejsca do siedzenia.

Zatopiony w rozmyślaniach, wchodził na wzgórze wzdłuż pnia, machinalnie licząc kroki. Doliczył do osiemdziesięciu trzech, zasapał się i zobaczył wreszcie wywrócone ku górze ogromne korzenie.

Korzenie były tak rozłożyste i potężne, że stojąc obok, Degustatow nie mógł zobaczyć, jak głęboki jest dół. Ostrożnie, żeby się nie ubrudzić, przesunął się i zajrzał w prześwit pomiędzy korzeniami.

Dół był ogromny, a dno niewidoczne, zupełnie jakby drzewo rosło nad jaskinią, osłaniając ją przed deszczem.

Degustatow obszedł korzenie i nachylił się nad dziurę, łagodnie sięgającą w głąb wzgórza. Mogły się tam znajdować obiekty archeologiczne, nawet skarby. Przecież tutaj, nieopodal wielkiego traktu, grasowali kiedyś rozbójnicy.

Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i zapalił. Co prawda, w pieczarze mogło kryć się dzikie

zwierzę albo jadowita żmija, ale pocieszał się, że to raczej mało prawdopodobne, skoro przez ostatnie kilkaset lat nie było dostępu do jaskini. Inaczej wczasowicze na pewno by ją odkryli i wykorzystali.

- Hej! - krzyknął niegłośnie w dziurę. - Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Degustator nachylił się i wszedł do jaskini. Zapalniczka dawała mało światła, osłaniał ogień dłonią, żeby nie przeszkadzał mu patrząc. Podłóże jaskini okazało się gładkie, bez wypukłości i szczelin. Po kilku krokach sklepienie podniosło się na tyle, że mógł się wyprostować. Wolną rękę trzymał nad kapeluszem, tak na wszelki wypadek, żeby nie zagroził mu wstrząs mózgu.

Jaskinia rozszerzała się, schodząc coraz głębiej. Było zimno i wilgotno, Degustator zatrzymał się, zapiał marynarke. Potem się obejrzał - jasny otwór o nierównych brzegach, którym wszedł, wydawał się bardzo odległy. Dyrektor domu wczasowego zapragnął wrócić. No, jeszcze kilka kroków, dodawał sobie otuchy, i wracam.

Degustator, który raczej odgadł, niż zauważył przeszkodę pod nogami, zamarł i wtedy dostrzegł przed sobą coś białego... Przynął zapalniczkę - okazało się, że to czaszka z pustymi oczodołami. Za czaszką leżały kości, przykryte zetlałą odzieżą. Drugi szkielet siedział pod ścianą, oparty o zardzewiałą kopię...

Degustator ocknął się na świeżym powietrzu, kilkadziesiąt kroków w dół zbocza. Nie pamiętał, ani jak wyskoczył z pieczary, ani jak biegł. Zmusił się do zatrzymania i rozejrzał po spokojnym lesie, przepojonym wiosennym aromatem. Nikt go nie gonił ani nie dybał na jego życie. Zgaszona zapalniczka grzała dłoń. Można było biec dalej i wzywać pomocy. Albo powiadomić pracowników muzeum. Ale wtedy Degustator pomyślał, że szkielet trzymający w ręku kopię może tam siedzieć od bardzo dawna, może od rewolucji, albo od czasów, gdy żadnego drzewa nie było i do jaskini mógł wejść każdy. Ci ludzie mogli być strażnikami skarbu. Jak wiadomo z literatury, rozbójnicy zabijali swoich towarzyszy, którzy zbyt wiele wiedzieli, a potem widok ich trupów odstraszał amatorów cudzego mienia. Szansę na skarb były coraz większe. Poza tym nie ma się czego bać, tłumaczył sobie dyrektor domu wczasowego, szkielety nie gryzą. Doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest wrócić do jaskini i sprawdzić, czy nie ma tam jakichś drogocennych przedmiotów.

Wrócił więc w ciemność i wilgoć. Za szkieletami było jeszcze kilka metrów gładkiego podłóża, a następnie kolejny szkielet, ale ten zdecydowanie nie należał do człowieka. Miał trzy czaszki, przypominające krowie łby, tylko bardziej masywne i dłuższe, z rzędami wielkich ostrych zębów. Zwierzę posiadało również łuskowaty grzbiet. Rozsypane na podłodze pojedyncze łuski, sztywne i ciemne, osiągały pół metra długości. Ogromny kręgosłup kończył się ogonem z rogami nosorożca na końcu. Najwidoczniej szczątki te należały do jakiegoś przedpotopowego stworzenia i Degustator pożałował, że nie uczył się zbyt pilnie biologii i pamięta jedynie mamuta. Obecność szkieletu potwierdziła zamierzchny wiek jaskini. Dobrze, że się teraz takie krokodyle po lesie nie włóczą i ludzi nie straszą. Ostrożnie zmierzył długość zwierzęcia i wyszło mu ponad dwanaście metrów. Postanowił wziąć na pamiątkę róg z ogona, a resztę oddać do muzeum. Pod nogami coś brzęknęło. Poświecił zapalniczką i odkrył gruby łańcuch (każde ogniwo mogło ważyć z pięć kilo), jednym końcem przykuty do ściany. Drugi otaczał przedpotopową nogę. Degustator pomyślał zdumiony, że nasi jaskiniowi przodkowie umieli robić wspaniałe łańcuchy i nie bali się owych pierwotnych krokodyli. Poszedł dalej.

O dziwo, znowu zamajaczyło przed nim światło, jakby mieściło się tam drugie wejście do jaskini. Ale to nie było światło słoneczne. Jaskinia rozszerzyła się do rozmiarów sporej sali, jej koniec zaś, oświetlony najjaśniej, był zamglony. Degustator zerknął pod nogi, dostrzegł, że podłoga jest wyłożona kaflami jak w łaźni, i śmiało poszedł przed siebie. Jego serce zabiło mocniej. Pomyślał, że nie odda całego skarbu. Państwo i tak dużo dostanie, a on ma moralne prawo zatrzymać sobie kilka pamiątek. Z tym twardym postanowieniem przeciął wysoką salę i znalazł się przed tiulową zasłoną. Odsunął zasłonkę i zamarł wstrząśnięty.

Na podniesieniu znajdowała się szklana albo plastikowa trumna, w której ktoś leżał. Wokół siedzieli i stali w przeróżnych pozach ludzie w starodawnych strojach. Wyglądali jak wyjęci z

jakiegoś widowiska historycznego. Degustatow nawet się rozejrzał w poszukiwaniu kamer i operatorów. Ale nikogo takiego nie było.

- Hej, towarzysze! - zawołał do nieruchomych ludzi, znacznie już ośmielony. - Co się dzieje?!

Nikt mu nie opowiedział.

Manekiny, pomyślał Degustatow, lalki wielkości człowieka. Wszedł na podniesienie, podszedł do jednego z manekinów i przyjrzał mu się. Manekin szalenie przypominał człowieka. Oczy miał zamknięte, długie kosmyki zrobiono z naturalnych włosów, na bladej twarzy było widać żyłki i zarost. W dotyku manekin był ciepły i miękki.

Co to za diabelskie sztuczki? Podszedł do drugiego manekina - grubej kobiety w długiej wzorzystej sukni i nakryciu głowy, jakie dyrektor widział u pieśniarek zespołów ludowych. Kobieta wyglądała jak żywa. Podniósł jej rękę i ze zdumieniem wyczuł bardzo wolny, słaby puls. Zaprzagnął natychmiast stąd wyjść, ale opanował się - przecież mógł być tu skarb! Odsunął kobietę, która miękko upadła na podłogę, wyraźnie westchnęła, podłożyła rękę pod policzek i zamarła.

Przestąpił ciało, podszedł do następnej osoby, staruszka, i lekko go pchnął. Staruszek zachwiał się, ale zachował równowagę. Degustatow pchnął go silniej. Staruszek zgiął się wpół i upadł. Gdyby Degustatow wiedział, że to prawdziwi ludzie, nie popychałby ich. Ale dla niego nie byli prawdziwi i przeszkadzali mu podejść do szklanej trumny.

Trudno było się zorientować, kto leży w trumnie, wieko było grube, chropowate i odbijało światło.

Degustatow próbował je podnieść, ciężko mu szło, więc zabrał włącznik jednemu z ludzi, podważył i odsunął. Wieko zjechało na podłogę, uderzyło kantem i rozbiło się. Dyrektorowi zrobiło się żal wieka - wyglądało na bardzo drogie - ale natychmiast o tym zapomniał.

W trumnie leżała dziewczyna olśniewającej urody. Spała albo była martwa. Długie czarne rzęsy zasłaniały jej oczy, policzki miała blade, błękitnawe, czoło wysokie, złoty warkocz, splecione na piersi cienkie paluszki, a na nich drogocenne pierścienie. Pełne różowe wargi były uchylone i odsłaniały drobne ząbki niczym sznur pereł.

Takiej piękności Degustatow nie widział nawet w kinie. Przez dom wczasowy przewinęło się kilka tysięcy kobiet, ale nie było wśród nich ani jednej dziewczyny podobnej do tej. Poczul, jak łomocze mu serce, nachylił się niżej, żeby nacieszyć się tym cudownym widokiem, a następnie zdjął z paluszka drogocenny, szmaragdowy pierścienek i schował do kieszeni, w której znajdowała się butelka. Dziewczyna nie stawiała oporu.

Degustatow zrozumiał, że pora wracać. Wziąć co się da z interesujących pamiątek i wracać. Tutaj i tak bardziej niż on potrzebna jest medycyna. Już miał wyjść, ale nie mogąc się oprzeć dziwnemu niepokojowi, pochylił się nad piękną dziewczyną i pocałował jej ciepłe rozchylone usta. Pocałunek był słodki, a Degustatow nie mógł go przerwać, bowiem poczuł, że dziewczęce wargi drgnęły i pocałunek stał się prawdziwy i odwzajemniony.

- Taak - powiedział poruszony, odrywając się od różowych warg.

- Oj! - wykrzyknęła dziewczyna, otworzyła oczy i zobaczyła Degustatowa. - Witajcie. Długo spałam?

Z tyłu zaczął się ruch. Przeciągali się i podnosili pozostali ludzie. Brzękała broń, odchrząkiwano, smarkano, poprawiano ubiory i wymieniano się zdumionymi okrzykami.

- Co się stało? - spytał Degustatow. - Skąd taka zmiana? Staruszek, którego dyrektor przewrócił na podłogę, stęknął:

- Chyba mam żyłki.

- Dziękuję ci, dzielny bohaterze. - Dziewczyna usiadła w trumnie. - Całe plecy sobie odleżałam.

- Plecki carewnę bolą - zaniepokoiła się kobieta za Degustatowem. - Carewna plecki odleżała.

Zaczęła się krzątanina, podkładanie poduszek, a jeden z wojowników podstawił plecy, żeby carewnie wygodniej było opuścić szklaną trumnę.

- Nie trwóście się - powiedziała carewna. Jej oczy, teraz otwarte, przypominały zielone odmęty, w których, jak kielbie w głębinie, migotały złote iskry. - Zostawcie. Mój bohater mi pomoże. Weź mnie, kniaziu, na swoje silne ręce i postaw na podłodze.

Degustatow posłuchał. Działał jak w otępieniu, o niczym nie myśląc.

Carewna była niewysoka (sięgała mu do ramienia), szczupła i bardzo młoda.

- Ile ma pani lat? - spytał, stawiając ją na podłodze.

- Carewnie idzie szesnasta wiosna - pospieszyła z odpowiedzią gruba baba. - Pora za męża. A my na ciebie, bohaterze, czekaliśmy i czekaliśmy... Tyle lat minęło...

-Ile?

- Pewnie dużo - wtrącił się staruszek, pocierając stłuczone miejsca. - Coś bardzo nie po naszymu wyglądasz.

- Co tu robiliście? - indagował Degustatow.

Przeszkadzała mu pamięć o pocałunku, który bezprawnie skradł z ust carewny. Miał nadzieję, że nikt prócz niego i carewny o tym nie wie. No, żeby miała, powiedzmy, dwadzieścia pięć lat. A tu taka smarkula, do szkoły powinna chodzić, a nie całować się z dorosłymi mężczyznami. Mógłby z tego wyjść skandal.

- Spaliśmy - odparła carewna.

Wszyscy ci ludzie otoczyli Degustatowa i zaczęli jeden przez drugiego opowiadać o swoich perypetiach, dlaczego w tych dziwnych strojach są tutaj, w lesie, w jaskini, na terenie domu wczasowego.

A zdarzyło się to dawno, kilkadziesiąt lat temu. Piękna dziewczyna o imieniu Lena była córką miejscowego feudała - cara. Na urodziny albo inne dworskie święto zaproszono wszystkich okolicznych feudałów i gości zza granicy, ale pominięto pewną wredną kobietę, która po wielu latach podsunęła Lenie zatrute jabłuszko i królowa oraz wszyscy dworzanie zapadli w głęboki sen.

Inna kobieta, daleka krewna carskiego rodu, przepowiedziała, że Lena się obudzi, jeśli znajdzie się rycerz, który zdoła przeniknąć do jaskini i pocałować ją w usta.

Gdy Degustatow usłyszał tę niewiarygodną historię, poczuł się wyższy, poprawił kapelusz i otrzepał marynarkę z grudek ziemi.

- Jak pokonałeś smoka? - spytał staruszek.

- Smoka? - odpowiedział pytaniem Degustatow. - O smoku nic nie wiem.

- Bronił dostępu do pieczary, zabijał niegodnych.

- Nie było smoka - odparł autorytatywnie dyrektor. - Zauważyłbym.

- Dziwy jakoweś! - oburzyła się gruba kobieta, zwana kniahinią Pustowojt. - Przecież nam tyle lat spać przeszkadzał, chrapał i parskał. A tyś go zabił i nawet nie zauważył. Bohater.

- Tak - zgodził się Degustatow, zajęty swoimi myślami. -A więc nie macie dowodów osobistych ani innych dokumentów, miejsca stałego pobytu, niczego?

- Jak to nie mamy? - obraziła się księżniczka. - Nieopodał powinien stać pałac mojego ojca, może trochę podniszczony, ale to porządny pałac!

- Nie ma - rzekł Degustatow. - Nic nie wiem o żadnym pałacu. Pewnie go zburzyli, zanim zacząłem tu pracować. Jest tu tylko jeden pałacyk - mój. Niedaleko. Jeśli oczywiście można go nazwać pałacykiem. Ma elektryczność, bilard, ping-pong. A wokół sosnowy bór.

- Posłuchajcie, wasza miłość - zwrócił się do niego staruszek, zwany, jak się okazało, Jeremą. - Jakże to tak, może to jakowaś pomyłka? Nasze carstwo było wielkie, aż do samego morza, wielu nam dań płaciło... I Berendejowie, i Szkerborejowie, i Czeremisi, i Wiatycze...

- Milcz, stary! - przerwała mu carewna. - Bo każę głowę odrąbać. Jeśli mój narzeczony mówi, że nie ma, to znaczy, że nie ma. Teraz on nas do swojego pałacu zaprowadzi.

- A tam weselisko wyprawimy - ucieszyła się kniahini Pustowojt. - I dzieciaki będą.

Carewna zarumieniła się, a służby zakrzyknęły, zaczęli związać kobierce, zawiązywać w toboły suknie i kotary.

- A gdzie mój ulubiony pierścień?! - krzyknęła nagle carewna. - Gdzie mój czarodziejski szmaragdowy pierścień? Kto go ukradł, gdy spałam?

Nikt się nie przyznał, tym bardziej Degustatow, który nie miał pojęcia, co robić dalej. Wyglądało na to, że dziewczyna zamierza wyjść za niego za męża, co mu się wcale nie podobało. Po pierwsze, była niepełnoletnia i mogłyby z tego wynikać poważne nieprzyjemności, po drugie, Degustatow miał już żonę, która mieszkała z synem Pietią w Archangielsku. Wprawdzie nie mieli rozwodu, ale

Degustatow wysyłał żonie alimenty, dwadzieścia pięć procent podstawowej pensji, bez uwzględnienia dodatków. Poza tym dyrektorowi domu wczasowego nie wypada pokazać się w mieście w otoczeniu osób, które przybyły nie wiadomo skąd. A z drugiej strony, nie można przecież porzucić ludzi. To niehumanitarne. Postanowił, że zaprowadzi ich na razie do domu wczasowego.

- Carewno - zaproponowała kniahini Pustowojt - przeszukajmy wszystkich bez wyjątku, takiego pierścionka nie można zostawić w niedobrych rękach.

- Nie, nie! - zaprotestował szybko Degustatow. - Pora iść. Potem się zobaczy.

- Jeśli boicie się bojtura albo jednorożca - włączył się młody żołnierz z toporem na długiej rękojeści - obronimy was.

- Żadnego bojtura nie będzie! - zareagował ostro Degustatow. - Bojturów tu nie trzymamy.

- Pewnie teraz wielu rozbójników? - zasugerował staruszek.

- Od tego jest milicja. Posłuchajcie uważnie, czasy się zmieniły, tytuły wyszły z użycia. Musicie mnie słuchać. Pójdziecie, gdzie powiem, zostanieie, gdzie powiem. Potem zobaczymy. Zwracajcie się do mnie po prostu Iwanie Juriewiczu.

- A wesele? - spytała figlarnie jedna z dworek, kobieta w sile wieku, czarnobrewa i smągła. Typ urody zdradzał szemachańskie pochodzenie.

- Wszystko w swoim czasie.

Degustatow szedł przodem. Gdy opuścili salę, zapalił zapalniczkę. Za nim szło dwóch wojowników z toporami, czuł na karku ich oddechy. Z tyłu szeleściły spódnicami carewna, damy i dziewczki służebne. Na końcu kroczyli żołnierze, niosąc toboły i węzły z rzeczami, oraz stary Jeremą. W takim porządku doszli do szkieletów.

- To mój bohater zrobił - powiedziała carewna z dumą, gdy zobaczyła w słabym świetle zapalniczki szkielet przedpotopowego zwierzęcia. - Nawet mięso z niego zdarł.

- Nie, carewno - zaprzeczył staruszek Jeremą. - Już prędzej smok zdechł własną śmiercią z nudów albo udusił się z braku powietrza.

- A może ze starości? - wtrąciła kniahini Pustowojt.

- Może i ze starości - zgodził się staruszek. - Chociaż smoki długo żyją.

- Jestem niezadowolona. - Carewna zmarszczyła brwi. - Mówię wam, że to dzieło rąk mojego ukochanego, a wy mi się sprzeciwiacie. To wstrętne. Gdyby żył mój papa, powywieszałby was. Zresztą jeszcze nic straconego. Przyjacielu rycerzu, odrąb im głowy. Mam ich dosyć.

- Zmiłuj się, carewno - zaczęli błagać dworzanie, padając do nóg carewny. - Nie każ nas tracić, pozwól słowo powiedzieć.

- Dość tych żartów! - powiedział surowo Degustatow. - Nikt nikogo nie będzie tracił. Nie ma czasu. Potem zobaczymy. To mówi pani, Lenoczko, że to właśnie ten wasz smok? Ja myślałem, że zwierzę przedpotopowe, w rodzaju mamuta albo krokodyla, które mogłoby być interesujące dla nauki. Ale skoro smok należał do waszej kompanii, zostawmy go tu. Ani dla nas, ani dla nauki interesujący nie jest.

- Słusznie - pochwaliła carewna. - Mądry z ciebie człowiek.

- Dumny pan - wyszeptał z szacunkiem jeden ze strażników.

Po kilku krokach natknęli się na szkielety ludzi. Zatrzymali się znowu.

Jeremą zauważył miedzianą blaszkę na żebrach jednego ze szkieletów.

- O, po tym obrazku go poznałem - ucieszył się. - Pamiętasz, carewno, bohemski witeź się do ciebie swatał? I mówił jeszcze: "Głowę złożę, a carewnie nic złego się nie stanie".

- Nie pamiętam - rzuciła obojętnie carewna. - Wielu ich było.

Wzięła Degustatowa pod rękę, ale Degustatow lekko się odsunął, żeby carewna przypadkiem nie wyczuła w jego kieszeni pustej butelki i wziętego bez pozwolenia pierścionka.

- Słabo cię w ciemności widać - rzekła carewna - ale twoje bohaterskie oblicze śniło mi się wiele lat.

- Dziękuję - mruknął Degustatow. - Wychodźcie ostrożnie, pojedynczo, nie wrywajcie się do przodu i bez mojego pozwolenia nigdzie się nie oddalajcie.

Wyszedł i stanął z boku, mrużąc oczy przed jasnym światłem.

Na świeżym powietrzu nowi znajomi Degustatowa nie sprawiali już tak czarodziejskiego wrażenia jak pod ziemią. Byli bladzi od długiego przebywania w sztucznym świetle, pokryte pyłem zbutwiałe ubrania wymagały prania i cerowania. Na broni strażników widniały ślady rdzy, która przeszła na starodawne mundury. Twarze kobiet, pokryte pudrem i różem, również przedstawiały smętny widok. Carewna wyglądała teraz na dziecko, uczennicę najwyżej ósmej klasy.

Degustatow przyglądał się im w milczeniu. Zapragnął wyjąć z kieszeni pierścione i sprawdzić, czy kamień nie ma jakichś skaz, chociaż, szczerze mówiąc, kompletnie nie znał się na szmaragdach.

Uratowani przez niego ludzie mrużyli oczy, chwiali się, zasłaniali twarze rękami i chociaż Degustatow chciał jak najszybciej zaprowadzić ich w jakieś bezpieczne miejsce, zlitował się nad nimi i nie poganiał. Niech się trochę oswoją.

Jeszcze się rozkleją po drodze i zaciągną swojego wybawcę pod monastyr.

- Dziwny masz kaftan. - Carewna nieśmiało dotknęła marynarki.

- Jest, jaki jest. - Degustatow skrzywił się.

Z jaskini wyszedł ostatni strażnik i postawił na ziemi kuferek z posagiem carewny. Degustatow przyglądał się z zainteresowaniem miedzianym okuciom i masywnej kłódce.

- Daj, pomogę - zaproponował i zrobił krok w stronę kufereka. Chciał sprawdzić jego wagę.

- Panie, poniżacie się - powstrzymała go kniahini Pustowojt. - Waszej kondycji przystoi walka ze smokiem albo pojedynek z innym bohaterem, z Chazarów albo Połowców. Ale nie noszenie ciężarów!

- Słusznie - poparła ją carewna. - Tobie, miły, przystoi miecz, nie kufer.

Jerema, który już zupełnie doszedł do siebie, popatrzył na wybawcę przenikliwym starym wzrokiem, westchnął i polecił strażnikowi:

- Kufereka nikomu nie dawać. Nie wiadomo, co za naród tu mieszka. A to gad podejrzliwy, pomyślał Degustatow.

- No, wszyscy już? - spytał niecierpliwie. - W takim razie idźcie za mną.

Po zboczu schodzili powoli, jakby uczyli się na nowo chodzić. Gdy doszli do strumienia, zatrzymali się, żeby się umyć i doprowadzić do porządku. Wtedy nieoczekiwanie pojawiła się możliwość zabrania kufereka i opuszczenia tej kompanii - nad lasem przelatywał samolot, zwykły, rejsowy. Huk silników i widok opływowego kadłuba sprawił, że wszyscy ludzie z jaskini padli na trawę, w błoto i zaczęli głośno zawodzić. Okazało się, że z powodu zacołania wzięli samolot za latającego smoka. Degustatow śmiał się z nich głośno, wachlując się kapeluszem. Szacunek do niego jeszcze wzrósł.

Dom wczasowy, piętrowy główny budynek z kolumnami, niegdyś należący do kupców Anuczkinów, po rewolucji rozbudowany, stał sobie na wzgórk, skąd było zejście do rzeki. Pozostałe zabudowania częściowo kryły się za roślinnością.

- Ach! - wykrzyknęła czarnobrewa dworka Szemachanka. - I to jest wasz pałac?!

Degustatow, który nie wiedział, czy to zachwyt, czy ironia, rzucił tylko:

- Jest, jaki jest.

- Dużo lepszy niż u ojczulka cara - oceniła czarnobrewa.

- Jak się pani nazywa? - spytał ją Degustatow.

- Anfisa Mahometowna.

- Po prostu Anfiska - poprawiła kniahini Pustowojt.

- Może być Anfiska - zgodziła się dworka i poruszyła ramionami, przeciągając się.

Świeże powietrze i słońce zaróżowiły jej policzki, w oczach zapaliły blask. Degustatow porównał ją w myślach z carewną, westchnął i poprowadził grupę dalej, do ukrytej w krzewach bzu oficyny numer 2.

- Wycierajcie nogi - polecił.

Posłusznie wycierali buty o gumową wycieraczkę i dziwili się wszystkiemu: szybom w oknach, wielkości samych okien, malowanemu dachowi, rynnom i nawet zwykłemu asfaltowi na ścieżce.

A gdy znaleźli się na skrzypiącej oszklonej werandzie, gdzie stał stół bilardowy i skąd przez otwarte drzwi było widać korytarz, z drzwiami po obu stronach, carewna podeszła do Degustatowa i powiedziała:

- Widać jesteś potężnym carem, mój wybawco.

- Aha - przyznał Degustatow. - Poczekajcie tu. Popatrzę, w jakich pokojach was umieścić. Anfisa przesunęła dłonią po zielonym suknie.

- A łóżko nieprzykryte - zauważyła.

- Jakie łóżko? - Degustatow odwrócił się.

Anfisa, chytra bestia, potajemnie cioteczna siostrzenica czarodziejki, która wszystkich uśpiła, z uśmiechem, ukazującym dołeczki w policzkach, wskazała na stół bilardowy.

- Pierzynę, panie, gdzie trzymasz?

- Myli się pani. - Degustatow uśmiechnął się do niej. - To nie łóżko tylko bilard. Taka gra, kule się wbija. - I wyszedł.

Degustatow zajrzał do sypialni, gdzie stały cztery łóżka, z nieobleczoną jeszcze pościelą. Tutaj umieścimy straż, pomyślał. W następnej - kobiety i kniahinię, dla nich trzeba będzie jeszcze jeden pokój zostawić. Staremu i piątemu żołnierzowi da się ten mały, z dala od carewny. Carewna dostanie pokój dwuosobowy. Zostaje jeszcze jeden. Wypadałoby oddać go Anfisie, ale mogą się burzyć, ustrój mieli feudalny. A kuferek i tobołki złoży się w schowku obok toalety. Ciekawe, swoją drogą, czy umieją korzystać z toalety. W jaskini nic podobnego nie zauważył.

Wszedł do toalety. Kafelki załśniły w promieniach słońca przebijającego się przez matową szybę. Można było machnąć na wszystko ręką i wezwać dyrektora muzeum. I koniec. Zostałby mu pierścionek ze szmaragdem i notatka w miejscowej prasie. Pierścionek był masywny, chyba złoty, kamień mienił się zielenią. Nie, trzeba koniecznie sprawdzić, co zawiera kuferek. Sytuacja jest drażliwa - każą mu się żenić z carewną, którą nieopatrznie pocałował, więc musi to załatwić delikatnie.

Snując plany, machinalnie obracał pierścionek na małym palcu. Szło opornie, z całej siły próbował przekręcić go tak, żeby znowu ujrzeć lśnienie zielonego kamienia. Gdy wreszcie mu się udało, w toalecie nie wiadomo skąd zjawił się kary koń. Było mu ciasno, oparł się ogonem o ścianę, a łeb zadarł w górę, żeby nie zaczepić o Degustatowa.

- Jeszcze tylko tego brakowało! - zawołał Degustatow z rozdrażnieniem.

- Co rozkażesz, waleczny rycerzu? - zapytał koń ludzkim głosem. - Chcesz może pokonać Kościeja albo dokonać innego bohaterskiego czynu? Mów, jestem gotów. Więc to ty jesteś narzeczonym mojej drogiej carewny?

- Ciszej, ludzie usłyszą! - Degustatow zdenerwował się.

- Niech słyszą. Nawet lepiej, jak usłyszą. Niechaj wszyscy wiedzą, że ja, Koń Wiatr, jestem twoim sługą. Niechaj zadrzą twoi wrogowie.

Degustatow popatrzył na konia i w myślach przeliczył wrogów. Zaliczał do nich dyrektora budowlanki Udałowa, który zwlekał z remontem, sąsiada i wielu innych. Do walki z nimi bardziej potrzebny był atrament niż gadające konie.

- Moi wrogowie - odezwał się dyplomatycznie - drżą przede mną nawet wtedy, kiedy jestem pieszo. Z usług nie skorzystam.

- Nie to nie - mruknął koń. - Obróć pierścień na palcu i zniknę. A zdobyć dla ciebie czarodziejski miecz?

- Jeszcze kogoś pokaleczysz!

- Coś ty mi się, bohaterze, dziwny wydajesz. - Koń stuknął kopytem o glazurę toalety. - Czegoś mi w tobie brakuje. Żeby tylko carewna ręki ci nie odmówiła.

- Do niczego jej nie zmuszam - zauważył Degustatow i nie czekając, aż koń zacznie snuć dalsze rozważania, przekręcił pierścień na palcu; Koń Wiatr znikł, jakby go nigdy nie było. W powietrzu został tylko zapach końskiego potu.

Degustatow otworzył lufcik, pierścionek schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, a butelkę postawił na parapecie. Co do tego konia, trzeba się jeszcze będzie zastanowić. Ale nie teraz, teraz trzeba zabrać ludzi z werandy. Bo jeszcze ktoś zajdzie do domu wczasowego i dopiero zacznie się cyrk!

Pospieszył na werandę.

- Żyjecie jeszcze? - spytał raźnie.

- Żyjemy - odpowiedzieli goście.

- A jest niebezpieczeństwo? - zainteresowała się kniahini Pustowojt.

- Tak. Mam wielu wrogów.
- A gdzie twój służy? - spytała carewna. - Gdzie ochrona?
- Zwolniłem ich - oznajmił uprzejmie Degustatow. - Częściowo ich rolę spełniają różne niewidoczne duchy, częściowo ich tu nie ma...
- Są na wyprawie - wytłumaczył sobie jeden ze strażników.
- Zgadza się - potwierdził Degustatow. - Na razie zatrzymamy się w tym domu. Tylko macie zachowywać się cicho i spokojnie. Jasne?
- Dziwnie prawi - zauważyła kniahini Pustowojt. - Sam ratuje i sam straszy. Myśleliśmy, że będzie ucza, że będziemy się weselić. A tu pusty dom.
- Potem mi podziękujecie. - Degustatow zaczął się niecierpliwić.
- Jesteśmy głodni, Iwanie - przypomniała mu carewna.
- Iwanie Juriewiczu - poprawił ją Degustatow. Carewna zaczerwieniła się urażona.
- Jak pięknie brzmi - przypochlebiła się Anfisa.
Pochwała sprawiła dyrektorowi przyjemność.

Kniahini Pustowojt, zauważywszy wymianę spojrzeń, pociągnęła Anfisę za warkocz. Anfisa pisnęła, a Degustatow powiedział:

- Bardzo proszę, tylko bez tych staroreżymowych sztuczek. Być może Anfisa jest znacznie bardziej wartościową osobowością.

- Że co?

- Osobowością? - spytała z zainteresowaniem Anfisa.

- Nieważne - mruknął Degustatow. - Teraz, towarzysze, pokażę wam pokoje, rozgościcie się... A ja skoczę do magazynu po czystą pościel. Niczego nie będę wam żałował, moim obowiązkiem jest troszczyć się o was. Co do zapłaty, jakoś się dogadamy. Światło włącza się tu i tu, tutaj pójdzie ochrona, tu kierownictwo. Lenka na razie zajmie dwuosobowy pokój. Jeśli nie macie na razie pytań, zostawię was na kilka minut. Wszystko sam muszę robić, zrozumcie.

- A za potrzebą gdzie? - szepnął do Degustatowa starszek Jerema.

- Korytarzem, ostatnie drzwi na prawo.

Dyrektor domu przypomniał sobie, jak przebierał nogami w toalecie bajkowy koń i postanowił, że nie będzie nic starszemu tłumaczył ani pokazywał. Niech się sam domyśla, co do czego. Poczul złośliwą radość.

Na pożegnanie pstryknął dwa razy włącznikiem, demonstrując elektryczność. Spodziewał się, że znowu padną na podłogę, ale nie padli, może dlatego, że żarówki w korytarzu i pokojach były słabe, po dwadzieścia pięć wat.

Sprzątaczkę ciocię Szurę i gospodynię Aleksandrę Jewgieniewnę Degustatow znalazł w dyżurce. Piły herbatę z elektrycznego samowara.

- Gdzie pan był, Iwanie Juriewiczu? - spytała Aleksandra "| Jewgieniewna, gdy ujrzała w drzwiach krzepką, szeroką w barach i biodrach postać dyrektora. - Objeżdżał pan posiadłości? A my już myślimy, że pan zapomniał, herbata stygnie.

- Jakież nowiny?

- Nie. Dzwonił tylko Udałow z budowlanki, pytał, czy zgadza się pan na szyfer.

- Wszystko jedno, może być nawet słoma, żeby tylko nie ciekło. Z miasta nikt się do nas nie wybiera?

- Nie, nie dzwonili.

- Dobrze. Wydadź mi dwanaście kompletów pościeli.

- A po co? Zjazdu jeszcze nie było.

- Był zjazd. Przegapiła pani, Aleksandro Jewgieniewna.

- Od rana się stąd nie ruszam - obraziła się gospodyni, opuszczając podbródek na miękkie wałki szyi.

- Przyjechali filmowcy - skłamał Degustatow. - Autokarem. Brama była otwarta. Sam ich umieściłem w drugiej oficynie. Mają kręcić film historyczny. O powstaniu Stiepana Riazina.

- Ojej! - ucieszyła się sprzątaczką Szura. - A artystka Słowik też przyjechała?

- Nie znam ich wszystkich - przyznał się dyrektor. - Może i Słowik.

-I Papanow?

- Papanowa nie ma - oświadczył Degustatow z przekonaniem. - Idźcie po pościel. Nieładnie, żeby ludzie czekali. Są zmęczeni po podróży, jechali aż z Moskwy. Płacić będą bezgotówkowo. I proszę nie niepokoić artystów, nie pchać się z pytaniami i tak dalej. Wśród nich są obcokrajowcy.

- Obcokrajowcy też?

- Tak. Znają rosyjski, ale nie rozumieją naszej rzeczywistości. Nieście wszystko do drugiego budynku. Będę tam czekał.

Wyszedł, zajrzał jeszcze z zewnątrz do dyżurki przez okno i krzyknął do cioci Szury:

- Napelnij samowar! Ugościmy ich herbatą.

Ciocia Szura i Aleksandra Jewgieniewna przytargały worek prześcieradeł i powłoczek na werandę drugiej oficyny. Chciały oblec pościel i przy okazji popatrzeć na artystów, ale Degustatow dyżurował przy wejściu.

- Połóżcie tutaj - polecił. - Do środka nie wchodzić.

- Oczywiście, oczywiście - zgodziły się kobiety, chociaż miały ogromną ochotę zajrzeć do środka choćby na moment.

Poszły dróżką dookoła budynku, z daleka zerkając na zamknięte okna, za którymi migały kolorowe stroje. Gdy straciły nadzieję, że cokolwiek zobaczą, jedno z okien otworzyło się, wyrzła czarnobrewa kobieta i zrobiła okrągłe oczy. To była Anfisa, którą w samo serce ugodziły stroje obsługującego personelu - bardzo skromne, bez pretensji, spódnice nieco ponad kolana. Zszokowały ją również ich uczesania: włosy nie były splecione w warkocz, lecz zwinięte w węzeł na karku Aleksandry Jewgieniewny i dość krótko obcięte u cioci Szury.

- Abababa... - wydusiła z siebie Anfisa i zamarła z otwartymi ustami.

- W jakich filmach pani grała? - spytała uprzejmie ciocia Szura, wielka miłośniczka sztuki filmowej.

- Abababa - powtórzyła Anfisa i przeżegnała się dwoma palcami.

- Obcy język... - westchnęła Aleksandra Jewgieniewna. - Jak ja podziwiam ludzi, którzy znają jakiś obcy język...

Wtedy zza pleców Anfisy wysunął się Degustatow, surowo pogroził kobietom palcem i zamknął okno. Było po rozmowie.

- Zauważyłaś? - Ciocia Szura rozmarzyła się. - W kokoszniku i starodawnym sarafanie...

Kooperacyjna produkcja.

Poszły dalej dróżką, omawiając nowinę.

A w pokoju Anfisa podwinęła spódnice do kolan, przeszła się kilka kroków, pokazując mocne ładne nogi i spytała Degustatowa:

- Takie w twoim carstwie spódnice noszą?

- Nawet jeszcze krótsze.

Już miał pokazać na spódnicy Anfisy, o ile krótsze, gdy w drzwiach stanęła kniahini Pustowojt, rzutem oka oceniła sytuację i powiedziała:

- Może, panie, w twoim carstwie kobiety nie zaplatają warkoczy i bezwstydnie nogi odsłaniają, ale carewna tego widzieć nie może. Rozkaż swoim służącym opuścić podoty. I do wesela nie kręć się koło Anfiski.

Gdy ciocia Szura i Aleksandra Jewgieniewna wróciły do dyżurki, żeby zaparzyć herbatę, czekał tam na nie gość, strażak Eryk. Siedział przy śpiewającym samowarze i czytał książkę, jako że szykował się do egzaminu wstępnego na studia pedagogiczne.

- Co cię do nas sprowadza? - spytała serdecznie ciocia Szura, gdy już się przywitani. - Wszystko w porządku?

- W porządku - odparł Eryk. - Przyszedłem z obowiązku. Przed rozpoczęciem sezonu trzeba sprawdzić sprzęt, gaśnice, łopaty, haki, czy wszystko sprawne.

- Nie dostaniesz się do dyrektora - rzuciła Aleksandra Jewgieniewna.

- Wyjechał?

- Nie, nigdzie nie wyjechał. Ale jest otoczony moskiewskimi pięknościami.

- Przyjechali do nas aktorzy - wyjaśniła ciocia Szura. -Kreć film historyczny o Pugaczowie. Będą płacić przelewem.
- Dziwne... - Eryk uniósł brwi. - Przejżdżali przez Guslar i nikt nic nie zauważył?
- Widocznie nie.
- I na długo?
- Aż nakreć.
- Pójdę popatrzeć. - Eryk odłożył książkę.
- Nawet o tym nie myśl - powiedziała ciocia Szura. - Degustatow zabije cię na miejscu. Wiesz, jaki on jest, nic mu nigdy nie pasuje.
- Pójdę, przecież mnie nie zje. Muszę sprawdzić gaśnice.

Po drodze do drugiego budynku Eryk sprawdził tablicę ze sprzętem przy boisku do gry w siatkówkę. Gaśnice zdjęto, została łopata. Zrobił koło i podszedł do domu nie od strony werandy, tylko od tyłu, gdzie była umywalnia i toaleta. Dobiegały stamtąd głosy, ktoś się z kimś spierał. I to tak głośno, że Eryk chcąc nie chcąc podsłuchał.

- Słuchaj, bojarze - powiedział młody głos należący do strażnika, o czym Eryk oczywiście nie wiedział. - Gdzieś ty widział takie carstwo, żeby tylko dwie gołe bezwstydnice chodziły, a więcej nikogo nie było? Ani ludzi, ani koni, a bohater ma na głowie kołpak zapadnięty pośrodku. Może to wcale nie Iwan-carewicz tylko Iwan-głuptas?

- Za takie słowa języki wyrwijają - odparł pouczająco starczy głos. - Boję się tylko, że głupców tu nie ma. Jakie tu świece u niego!

- Widziałem. Z sufitu wiszą, a wosk nie kapie.

- Toż właśnie mówię. A łóżka na żelaznych nogach. I dach żelazem kryty. W ustach złoty ząb. Możemy w niewolę do siły nieczystej trafić? Ja to już stary jestem, niedługo umierać, ale was, młodych, żal. Warn by jeszcze długo żyć.

- Panie, chroń nas - odezwał się młody głos. - A powiedz mi, dziadku Jeremo, była w starych księgach mowa o takich czarach?

- Była. Antychryst w żelaznej kolasie wybiję wszystko, co żyje. Ten już może swoich wybił, pusto tu u niego. Teraz za nas się wziął. Staremu carowi przysięgałem, że jego córkę od złego chronić będę. W tamtej strasznej chwili zdążył jej na palec założyć szmaragdowy pierścień. Obrócisz, przybędzie na pomoc Koń Wiatr i poniesie Alonuszkę, gdzie trzeba. A gdzie teraz pierścień? Przepadł. Czy to nie Iwan pierścień ukrył? A jeśli tak, kto mu podpowiedział? Wróg rodu ludzkiego...

Głosy stały się cichsze, jakby mówiący odwrócili się od okna.

Repetycje, pomyślał Eryk. Jak im to naturalnie wychodzi! Znowu dobiegł go młody głos:

- Iwan powiedział, że to wygódka. Tak powiedział?

- Tak. Zełgał, nie inaczej. Tutaj ściany białym kamieniem wyłożone, jak w pałacu. I czary z białego kamienia. I woda krystaliczna. Chciał pewnie, byśmy to czyste miejsce zapaskudzili, żeby nas potem ukarać.

- Aleś ty mądry, dziadku Jeremo - rzekł z podziwem młody głos. - Chodźmy na podwórze. Przechytrzymy nikczemnika.

Brzęknął haczyk na drzwiach i z budynku wyszło dwóch mężczyzn. Pierwszy szedł staruszek, krzepki jeszcze, z zapadłymi policzkami i siwą brodą. Na głowie miał wysoką czapkę-kubanę, a rękawy długiego, ciężkiego płaszcza były rozcięte z przodu. Spod płaszcza przy każdym kroku wysuwały się ostre noski zawiniętych do góry czerwonych butów. Drugi człowiek, młody, ubrany był podobnie jak starzec. Tylko na głowie miał hełm, płaszcz krótszy, wcięty w talię, bródkę ostrą, krótką i wąsy zakręcone do góry. Młody ciągnął za sobą topór na długim stylisku.

Eryk przypomniał sobie ilustrację z podręcznika historii. Staroruski strój, noszono go jeszcze przed czasami Piotra I. Może nawet wcześniej. Była w tych ubraniach dziwna naturalność, jakby wyszły nie z pracowni teatralnej, lecz uszyto je do codziennego noszenia.

Aktorzy skierowali się ku krzewom, za którymi stał Eryk. Było za późno, żeby się schować.

Co pan tu robi, młody człowieku? - spyta zaraz staruszek, może nawet narodowy artysta

republiki. Podśluchuje pan pod oknem naszą żartobliwą rozmowę? Eryk, stropiony, włożył na głowę kask. Przyszedł do domu wczasowego bez munduru, w swetrze i dżinsach, wziął ze sobą tylko kask, zresztą przypadkiem. Kask był stary, błyszczący, z grzebieniem. Takich się już teraz nie nosi. Znalazł go rano na strychu budynku straży pożarnej, gdy naczelnik wysłał go na poszukiwanie kawałka węża. Kask spodobał się Erykowi, żał mu było zostawić go na strychu, a nosić na akcjach nie można, bo wszyscy mają wojskowe, zielone. Eryk postanowił zanieść go do domu, ale nie zdążył. I przyszedł tutaj, wymachując kaskiem jak koszykiem na grzyby. A teraz, na widok filmowców, odruchowo włożył go na głowę, żeby samego siebie przekonać, że nie przyszedł tu tak sobie, bez powodu, tylko na polecenie zwierzchnictwa. I tak ustrojony, w miedzianym kasku, szarym swetrze i dżinsach, wychynął zza krzaków.

Staruszek aż przysiadł na widok lśniącego hełmu, nogi się pod nim ugięły. Za to młody bez wahania zamachnął się toporem, ale długa rękojeść zaplątała się w gałęziach bzu. Chłopak szarpał, ciągnął, ale był bezbronny.

- Przepraszam - powiedział Eryk. - Pewnie was przestraszyłem.

- Nie przestraszyłeś. - Staruszek dochodził do siebie. Znowu zachowywał się z godnością narodowego artysty, który gra bojara.

Młody chłopak w końcu wyplątał topór z krzewu i oparł go na nodze. Zapadła cisza. Chcąc podtrzymać rozmowę, Eryk zadał pytanie:

- Co tu kręcicie?

- Że jak? - Staruszek przyłożył dłoń do ucha.

- Jaki film kręcicie?

Staruszek i młody wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli.

- Jestem tu służbowo. Sprawdzam inwentarz, wyposażenie, gaśnice. Służba. - Eryk uśmiechnął się nieśmiało. Rozmowa stawała się niezręczna.

- To jesteś nietutejszy? - spytał staruszek.

- Z Guslaru.

- Dziwnie mówisz. A dla Iwana-carewicza kim jesteś?

- Dla kogo?

- Iwana-carewicza, co pocałował carewnę i nas tu przyprowadził. Najważniejszego na tych ziemiach. Iwana Juriewicza.

- A, ma pan na myśli Degustatowa. - Eryk roześmiał się, w końcu zrozumiał dowcip. - Nikim dla niego nie jestem. Jestem z niezależnej organizacji.

- To czemu po jego posiadłościach chodzisz? - Staruszek popatrzył podejrzliwie.

- Ja mogę. Jestem strażakiem.

- No tak... - Staruszek kiwnął głową. - Widzę ja, nie ma w tobie lęku przed potęgą i straszną władzą Iwana Juriewicza.

- Nie ma - przyznał się Eryk, zupełnie już rozweselony. - Wspaniale wam to wychodzi. Jakby naprawdę. I odzież, kaftany, po prostu świetne. I topór. Jak prawdziwy.

- Że co?! - obraził się młody człowiek. - Jak prawdziwy?! Jak ci zaraz tym jak prawdziwym przygrzeję, to się dowiesz, co znaczy lżyć dobrą broń.

- No nie, po prostu boki zrywać - wykrztusił Eryk. - Powiedzieli mi, że wy tu kręcicie film historyczny, ale teraz widzę, że komedię. Weźmiecie mnie do siebie?

- A co, nie masz swego pana?

- Mam swojego pana - podtrzymał grę Eryk - ma dwudziestu takich rycerzy jak ja. Wszyscy w hełmach bojowych, z toporami w rękach, nazywają się straż pożarna, ogień nam niestraszny ni woda. Ni trąby miedziane.

- Sławna drużyna - pochwalił uprzejmie dziad Jerema.

- Pewnie, że sławna. W gaszeniu pożarów pierwsze miejsce w rejonie.

- A jak zwą twego pana? - spytał staruszek Jerema, jakby się spodziewał spotkać starego znajomego.

- Brandmajster - oznajmił sprytnie Eryk.

- Niemiec?

- Tylko słowo jest niemieckie, to Mołdawianin.

- A jakże - potwierdził Jerema. - Słyszałem. Godny człowiek.

Młody strażnik popatrzył na niego z szacunkiem. Dziad Jerema dużo wiedział.

- A czy Iwan Juriewicz nie obraża twojego pana? - zadał kolejne pytanie staruszek. - Nie niepokoi go swoją czarnoksięską mocą?

- Ale zasuwa - zachwycił się Eryk i wyjaśnił: - Gdyby nawet zechciał, zaraz się na niego sposób znajdzie. Jakby tylko coś, to my do rady rejonowej i odbiorą mu carstwo domu wczasowego, wyślą do pracy w łaźni. Jak wam się taki wariant podoba?

- Nie wiem - odparł poważnie staruszek. - Nie wiem. Może to na lepsze, a może i na gorsze. Carewna z nim zaręczona. I jeśli on ją porzuci, hańba i sromota. A jeśli się ożeni, też nic dobrego z tego nie będzie.

- A kto gra carewnę?

- O carewnie tak, wyrostku, nie mów - odparł surowo staruszek. - Carewna to nie zabawka.

- A można na nią popatrzeć? Czy lepiej poczekać, aż się zaczną zdjęcia?

- My nie Saraceni, co dziewczkom twarze zasłaniają. Patrz sobie.

Staruszek zaprowadził Eryka po zeszlorocznych liściach i młodych igiełkach nowej trawy do zasłoniętego od wewnątrz okna i postukał w szybę zgiętym palcem.

Zasłonka się odsunęła i za szybą pojawiła się niewyraźnie widoczna dziewczęca twarz.

- Otwórz - poprosił staruszek. - Słowo trzeba powiedzieć.

Okno otworzyło się na oścież i ukazała się dziewczyna precudnej urody. Kiedy tak stała w oknie, wyglądała niczym stary, drogocenny portret w prostej ramie, potęgującej wrażenia estetyczne. Carewna trzymała w ręku lusterko na długiej rączce, widocznie przed chwilą rozczesywała swoje długachne złote włosy. Nie zdążyła ich zawiązać w koczek i podtrzymywała dłonią, żeby się nie rozsypały. Pod czarnymi rzęsami płonęły zielone oczy i były w nich nieme pytania: kto i po co mnie, taką urodziwą, niepokoi? kim jest ten nieznany rycerz w złocistym hełmie?

Eryk powinien się przedstawić, powiedzieć, kim jest, skąd u niego taka śmiałość. Powiedzieć, że podziwia sztukę filmową, a szczególnie lubi filmy z udziałem tej gwiazdy kina. Ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednego filmu z udziałem dziewczyny o wstrząsającej urodzie. A nawet gdyby widział z nią dwadzieścia filmów, i tak nie ośmieliłby się odezwać. Zakochał się od pierwszego spojrzenia. I na całe życie. Jego uczucia uwidoczniły się na twarzy - zbladł, a oczy błyszczały mu niczym w gorączce.

Jerema, z zadowoleniem obserwujący całą tę scenę (stary polityk, który przeżył trzech carów i wielu dworaków), zapytał:

- Podoba ci się, wyrostku?

Eryk skinął głową i przełknął ślinę. W gardle mu zaschło.

- Dobrze - rzekł dziad Jerema. - I taką piękność oddajemy Iwanowi Juriewiczowi.

Staruszek oczekiwał wybuchu niezadowolenia, początku waśni i wojny domowej, korzystnej dla niego, ale Eryk, który wziął te słowa za złośliwy żart, odwrócił się gwałtownie i odszedł na bok. Z całą ostrością poczuł, jak ogromna przepaść dzieli jego, szeregowego strażaka, przyszłego zaocznego studenta pedagogiki, i moskiewską gwiazdę kina, regularnie wyjeżdżającą do Cannes na międzynarodowy festiwal filmów, piękność, do której dzwonią znani poeci, żeby przeczytać jej nowe, specjalnie dla niej napisane wiersze i poematy. O Iwanie Juriewiczzu Eryk nawet nie pomyślał.

Tymczasem Degustatow usłyszał rozmowę, wdarł się do pokoju, odepchnął od okna carewnę, spoglądając ze współczuciem na zgrabnego młodzieńca w hełmie, i krzyknął ze złością:

- Co ty tu robisz?!

Eryk odwrócił się i ze smutkiem odpowiedział:

- Sprawdzani sprzęt przeciwpożarowy. Trzeba sporządzić akt.

Carewny szarpnięcie wprawdzie nie zabolalo, ale poczuła się urażona takim traktowaniem, jako że nikt nigdy (prócz papy) nie śmiał tknąć carskiej osoby, i rozplakała się. Staruszek Jerema starał się zachować szacunek:

- Nie godzi się tak czynić, Iwanie Juriewiczzu.

- Jak ja mam was wszystkich dosyć! - wyrwało się Degustatowowi. - Zdam was do muzeum i po krzyku.

- Gdzie, gdzie? - zapytał groźnie staruszek, niezadowolony z tonu i postępów swojego wybawcy.

- Nieważne - westchnął Degustatow, wiedząc, że i tak im niczego nie wyjaśni. Trzeba wreszcie zajrzeć do kufierka i odczepić się od tej całej podejrzananej kompanii.

- Panie! - Zza pleców Degustatowa wyłoniła się Anfisa i dotknęła jego ramienia. - Zmęczyliście się. Jesteście w smutku. Chodźmy stąd.

- A tak - przyznał Degustatow i w tym momencie zobaczył ciocię Szurę i Aleksandrę Jewgieniewnę, które wychyły z za krzaków.

Ciocia Szura niosła syczący samowar, a Aleksandra Jewgieniewna kartonowe pudełko z filiżankami, spodeczkami, paczkami wafli, cukrem i łyżeczkami. Szły, uśmiechając się szeroko; w ten sposób starały się podkreślić gościnność i radość z powodu przybycia tak drogich gości.

- Zaraz się napijemy herbatki - powiedziała czule Aleksandra Jewgieniewna.

- Ja sam - uprzedził je Degustatow, wysuwając ręce przez okno, żeby odebrać samowar.

- Nie trudźcie się, Iwanie Juriewiczu. - Ciocia Szura aż się cofnęła, nie chcąc oddać samowara.

- Ja ci pomogę, ciociu Szuro - zaproponował Eryk, wziął samowar i nie zważając na nic, wszedł na werandę.

Aleksandra Jewgieniewna wyciągnęła z kartonowego pudełka białą serwetę i zrećnie rozłożyła ją na stole bilardowym.

- Herbatki popijemy, pogrzejemy stare kości - ucieszył się dziad Jerema, wchodząc na werandę w ślad za Erykiem. - Tyle lat nic w ustach nie miałem.

- Abstynencja? - spytał Eryk.

- Aha - zgodził się staruszek z niezrozumiałym słowem.

Z korytarza wyszła w towarzystwie kniahini Pustowojt carewna Lenoczka, już w kokoszniku na głowie. Za nią ciągnęli strażnicy i służby. Stłoczyli się wokół stołu bilardowego patrząc łakomie, jak ciocia Szura i Aleksandra Jewgieniewna rozstawiają filiżanki i rozpakowują wafle. Staruszek Jerema wziął nawet kawałek opakowania, pomógł w rękach i podał do wiadomości ogółu:

- Widywałem ja już takie. Pergamin się nazywa, przywożą z zamorskich krajów. Żeby książki pisać.

Eryk nie pomagał kobietom. Stał nie zdejmując kasku i patrzył na carewnę. Carewna peszyła się i odwracała wzrok.

- Zgłodniała? - pożałowała jej ciocia Szura. - Taka młodziutka, a już prowadzi koczowniczy tryb życia.

- Koczownicy to poganie - rzekł srogo dziad Jerema. - A my w Boga wierzymy. Jesteśmy osiadli.

- Boga nie ma - oznajmił Eryk.

- Gdzieżeśmy trafili? - zawołała impulsywnie kniahini Pustowojt. - To już lepiej z powrotem do jaskini.

- Przeżyjemy jakoś - pocieszył ją młody strażnik. - Wcześniej przeżyliśmy, to i teraz przeżyjemy. Na drugiego bohatera czekać będziemy. Prawdziwego.

- A może już nie ma prawdziwych? - Staruszek Jerema zerknął na Eryka z nadzieją.

Staruszek cierpiał na postrzał i gotów był pójść na dowolną intrygę, żeby tylko nie wracać do wilgoci.

Eryk słuchał tej zdumiewającej rozmowy, niezrozumiałej "j" w ustach moskiewskich artystów. Buzowały w nim podejrzenia. 5

O cioci Szurze i Aleksandrze Jewgieniewnie szkoda było nawet mówić. Zamarły przy stole, zapominając, że pora nalewać herbatę, i tylko mrugały oczami.

Carewna wysłuchiwała opinii dworzan i znowu się rozplakała.

- Nie mogę wracać - mówiła przez łzy. - Nie rozumiecie? Przecież jestem zaręczona! Nie ma dla mnie drogi powrotnej. Co ja jestem dziewczka jakaś czy co? - I zasłoniła twarz chusteczką.

A Eryk myślał o tym, że nie widział tu ani autokaru, ani kamer, ani reflektorów, ani żadnego innego sprzętu. I jak długo można wytrzymać w kostiumach teatralnych bez przebierania się?

- Zostaje mi tylko jedno - ciągnęła carewna szlochając. - Znaleźć wysoki brzeg i do rzeki się rzucić. A wy jak chcecie. Wam daję wolę.

- Taka młoda, a tak rozpacza - współczuła jej ciocia Szura, która była kobieta dobrą i serdeczną. - Nie inaczej, tylko nasi drodzy towarzysze mają jakieś nieprzyjemności.

- Słyszysz, Szura, Iwan Juriewicz obiecał się z nią zenić i oszukał - powiedziała Aleksandra Jewgieniewna.

- Jak on mógł?! - oburzyła się ciocia Szura. - Przecież ma żonę w Archangielsku.

- Co?! - zawył dziad Jerema. - Żonę, mówisz?!

- A właśnie, gdzie on jest? - spytał Eryk, który jeszcze nie do końca rozeznawał się w swoich uczuciach, ale już płonął pragnieniem udzielenia pomocy pięknej dziewczynie. Rozezna się potem.

- Tak, gdzie on jest? - poparła go kniahini Pustowojt.

- Gdzie?! - wykrzyknął dziad Jerema. - Gdzie ten oszust?! Całował, a sam żonaty!

Przepychając się w wąskich drzwiach, zapomniawszy o herbacie, wszyscy rzucili się z powrotem na korytarz i stanęli jak wryci. Przed otwartymi na oścież drzwiami do pokoju, w którym trzymano kufer z posagiem narzeczonej, leżał związany strażnik z kneblem w ustach. Strażnik wściekle przewracał oczami i wił się jak robak.

Pokój był pusty. Ani kuferka, ani Degustatowa.

- Może gdzieś tu jest? - zasugerowała ciocia Szura; rozumiała, że gości okradzione, ale pragnęła bronić reputacji domu wczasowego.

- Degustatow! - krzyknął Eryk.

Na asfaltowej ścieżce pod oknem zagrzmiały końskie kopyta, krzesząc iskry aż do wierzchołków sosen, czarny koń machnął długim ogonem i ruszył w stronę ciemniejszego lasu. Na koniu siedział Degustatow z ciężkim kuferkiem pod pachą; z tyłu, obejmując jeźdźca w pasie gładkimi rękami, siedziała Anfisa.

- Zmówili się - mruknął staruszek.

- Łapać złodzieja! - krzyknęła kniahini Pustowojt.

- Nie dogonisz - wyjaśnił ze smutkiem mądry dziad Jerema. - To przecież Koń Wiatr, czarodziejskie stworzenie. Żadne zwierzę na świecie go nie dogoni.

- Więc to Iwan ukrał mój pierścionek? - dopytywała się carewna.

- On, nikt inny. Koń Wiatr tylko władcy pierścienia słucha.

- Więc on mnie okradł, jak spałam? Zanim jeszcze pocałował? - nalegała dziewczyna.

- Tak, Jeleno, tak - powtórzył staruszek. Cierpliwość Eryka wyczerpała się. Stał w drzwiach i powiedział głośno:

- Nie jesteście tymi, za kogo się podajecie. Nie jesteście żadnymi filmowcami. Mówcie, kim jesteście naprawdę i jak się tu znaleźliście. Wtedy podejmiemy odpowiednie kroki.

- Godnie powiedziane - oceniła Aleksandra Jewgieniewna. - A Degustatowowi już dawno pora za kratki.

- Za nikogo się nie podajemy - oświadczył staruszek Jerema. - Nie to co wasz przyjaciel, Iwan Juriewicz.

- Nie jest naszym przyjacielem - obruszył się Eryk. - Proszę przejść do rzeczy.

Eryk stał się skupiony i poważny jak w czasie pożaru. Przed nim są języki płomieni, życie ludzi jest zagrożone, w rękach drabina, trzeba ją przystawić do wielopiętrowego budynku, wchodzić na górę, ratować kobiety, starców i dzieci.

- Było to tak... - zaczął staruszek, doceniając poważny wygląd młokosa w złotym hełmie. - Jesteśmy zza siódmej góry, zza siódmej rzeki. Zdarzyło się tak, że na urodziny carewny Alony wredna czarownica, Anfisy cioteczna babka, nie została zaproszona. Wtedy przysięgła, że nasza królewna umrze. Ale druga czarodziejka, zaufana naszego cara, świeć, Panie, nad jego duszą, tak na to powiedziała: "Gdy carewna skończy piętnaście lat, nie umrze, lecz zaśnie snem głębokim. Uratuje ją rycerz, który się w niej zakocha i pocałuje. Wtedy i carewna, i wszyscy dworzanie się ze snu zbudzą".

- Śpiąca królewna! - wykrzyknęła Aleksandra Jewgieniewna.

- Tak jest - zgodził się Jerema. - A ty skąd wiesz?

- O waszej przygodzie zachowała się pamięć w literaturze pięknej.

- I w podaniach - dorzucił Eryk, nie odrywając wzroku od śpiącej królowy. Alona, szeptały bezgłośnie jego wargi. Alonuszka...

Mimo dramatyzmu sytuacji carewna odpowiedziała na to czułe spojrzenie i stropiła się.

- Napisano o was wiele bajek - mówiła Aleksandra Jewgieniewna. - Film nakręcono. Nawet animowany w wariacie zagranicznym. Z krasnoludkami.

- O tym nic nie wiemy - rzekł poważnie staruszek. - Zasnęliśmy, jak było przykazane, w dniu, gdy Lenoczka skończyła piętnaście lat. Co było dalej, nie pamiętamy. Smok nas ochraniał, żeby przypadkowy człowiek nie pokusił się na nasz majątek. Potem widocznie jaskinia zarosła, dróg do niej nie było, a smok zdechł. Jak było przepowiedziane, obudziło nas przybycie obcego człowieka. Patrzymy, a tu nieznany witeź w dziwnym ubraniu naszą carewnę w usta całuje. Skończyła się, myślimy, nasza samotność, będzie wesele.

- No jasne - potwierdziła Aleksandra Jewgieniewna. - Pamiętam doskonale. Potem było wesele i koniec bajki.

- To nie bajka. - Carewna zmarszczyła nos. - Ja naprawdę przez te wszystkie lata leżałam w kryształowej trumnie. Na puchowej pierzynie.

- Uwierzylimy witeziowi - dziad Jerema skrzywił się - i poszliśmy za nim. Wasz Iwan Juriewicz przywiódł nas tutaj, a dalej już wiecie.

- Nam mówił, że jesteście artystami - wyjaśnił Eryk.

- Kim, kim?

- Artystami.

- Takich nie znamy. Pomylił się.

- Kuglarzami. Tak się kiedyś mówiło? Skomorochami.

- Za coś takiego... za coś takiego... - Staruszek nie znalazł słów i rozeźlony splunął na podłogę.

- Jestem carewną czystej błękitnej krwi. - Carewna tupnęła nóżką i popatrzyła na Eryka.

- Nam bez różnicy - zauważyła milcząca do tej pory ciocia Szura. - Byle człowiek był dobry, a nie łobuz.

- I tak bywa - przyznał staruszek Jerema. - Ale to jednak carewna.

- Carewna... - westchnęła Aleksandra Jewgieniewna. - Ludzie na Księżyc latają, rzeki od chemii ratują, telewizję oglądają, a tu carewna...

- Dobrze, zostawmy to na razie - przerwał jej Eryk. - Teraz trzeba pomóc.

- Nie. - Jerema pokręcił głową. - Pomóc nam nie można. Konia nikt nie dogoni. Oni teraz jadą do innego carstwa.

- Do innego carstwa nie dojadą. - Eryk uśmiechnął się. - Do innego carstwa trzeba by jechać wiele dni. A przez granicę na koniu nie przejadą.

- Straż? - spytał z nadzieją Jerema.

- Pogranicznicy. Chodźmy, zadzwonimy do miasta.

- W dzwony będzie bił - wyjaśnił staruszek Jerema pozostałym. - Naród podniesie.

- Nie - zaprzeczył Eryk. - Do swojego naczelnika zadzwonię. Może coś wymyśli. Mam pewien pomysł.

- Do Brandmajstra? Mołdawianina? - Staruszek miał dobrą pamięć.

- Do niego.

- A po co? - zdumiała się ciocia Szura. - Na milicję trzeba dzwonić.

- Na milicji mi nie uwierzą. Co, mam im może opowiedzieć bajkę o śpiącej królowie?

Towarzysze, powiem, w bajce wynikły komplikacje, pomóżcie!

- A naczelnikowi?

- Wiem, co naczelnikowi powiedzieć.

Eryk zostawił zapłakaną carewnę ze służbą w pokoju, a strażnikom rozkazał, żeby nikogo nie wpuszczali; w razie czego mają chwytać za topory. Jako wzmocnienie dał im Aleksandrę Jewgieniewną. Sam poszedł szybko do głównego budynku. Ciocia Szura i staruszek Jerema podążyli za nim.

Dzień chylił się ku zachodowi. Niebo pociemniało, cienie przeświecały złotem, powietrze było zadziwiająco przezroczyste, z odległości kilku kilometrów było słyhać jadący pociąg.

- Wiem, gdzie on pojechał - oznajmił Eryk. - Na stację kolejową. Do Dalniebrodnej.

- Bardzo możliwe - zgodziła się ciocia Szura.

- Ale jeszcze nie wiadomo, o której ma pociąg. Nie każdy zatrzymuje się w Dalniebrodnej.

Staruszek Jerema nie mieszał się do rozmowy, wyobrażał sobie stację kolejową - połyskliwą, będącą wyrazem niezmiernej potęgi i bogactwa tych ludzi. Jeremie spodobała się rzeczowość młokosa w złotym hełmie, to dawało nadzieję. Ale najbardziej liczył na pomoc kniazia Brandmajstra. Jeśli Brandmajster nie pomoże, straszna hańba spadnie na carski ród, który wymarł niemal do cna wiele wieków temu.

W dyżurce stał telefon. Eryk podniósł słuchawkę.

- Poproszę ze strażą pożarną.

Jerema przysiadł na wysiedzianej kanapie. Na ścianie wisiały kartki z literami i obrazki, ale ikon w kącie nie było. Zamiast nich wisiał obrazek podpisany Myjcie ręce przed jedzeniem, na którym widniała ogromna mucha. Staruszek jeszcze nigdy takich nie widział. Zmrużył oczy. Jeśli takie mają muchy, to jakie są tu krowy?

- Ze strażą pożarną - powtórzył Eryk. - Pilnie. ^

Jerema wyciągnął nogi w czerwonych butach, rozłożył na piersi siwą brodę i zamyślił się głęboko. Za późno się obudzili, oj, za późno. Dlaczego jakiś rycerz nie znalazł ich jaskini pięćset lat temu?

Eryk dodzwonił się wreszcie do straży pożarnej, ucieszył się i powiedział do dyżurnego:

- To ja, Eryk, poznajesz? Melduję, że w domu wczasowym, na ósmym kilometrze, jest pożar.

Wystarczy jeden samochód.

- Dostanie ci się od naczelnika... - Ciocia Szura pokiwała głową.

- Nie szkodzi, wytłumaczę im, zrozumieją. U nas, w straży, na pierwszym miejscu jest humanitaryzm. Za benzynę oddam z pensji. Za dziesięć minut tu będą.

Staruszek poruszył się na kanapie, zamrugał i spytał:

- Kniaź Brandmajster do nas przybędzie?

- Nie - odparł Eryk. - Jego sławni drużownicy. Chodźmy do naszych, uprzedzimy ich.

Nieprzyzwyczajeni, mogą się przestraszyć.

Przy drugim budynku było zamieszanie i miotali się ludzie. Kniagini Pustowojt biegła z naprzeciwka, wołając:

- Carewna się zabiła! Nie zniosła hańby!

- Jakiej hańby?! - wykrzyknął Eryk. Kask zaczął mu ciążyć jak ołowiany, nogi się pod nim ugięły.

- Nie martwcie się, towarzysze - uspokoiła ich z okna Aleksandra Jewgieniewna. - Poję ją Waleriana. Lenoczka groziła, że się powiesi, pasek zdjęła, do swojego pokoju pobiegła, ale nie wiedziała, do czego pasek przymocować.

- I tak się powieszę! Albo utopię! - Carewna wysunęła rozczochraną głowę spod ręki Aleksandry Jewgieniewny. - Lepiej umrzeć niż hańbę znosić. Teraz mi wrota dziegciem wymażą. - Zobaczyła zdenerwowanego Eryka i dodała patrząc mu prosto w oczy: - Zhańbiona, nikomu już nie jestem potrzebna.

- Jest pani potrzebna nam wszystkim! - krzyknął Eryk, mając oczywiście na myśli siebie.

Carewna zrozumiała go właściwie, a Aleksandra Jewgieniewna, patrząc w przeszłość, powiedziała:

- Niemożliwie rozpieszczony dzieciak. Umęczą się z nią w szkole. Eryk nie zgadzał się z tą opinią, ale się nie odezwał.

- Zaraz tu będzie drużyna kniazia Brandmajstra - oznajmił staruszek Jerema tonem dobrze poinformowanego człowieka i odwrócił się do Eryka. - A naszych strzelców ze sobą weźmiesz?

- Nie ma potrzeby. Jeśli pan chce, może pan pojechać z nami.

- Macie być czujni! - twardo rozkazał Jerema strzelcom. - Karetą będzie?

- Będzie - odrzekł Eryk. - Czerwona. Ale uprzedzam, towarzysze, że samochód może wam się wydać...

W tym momencie w lesie rozległo się przeciągłe wycie syreny i na teren domu wczasowego wpadł, trąbiąc i piszcząc hamulcami na zakrętach, czerwony wóz straży pożarnej, z drabiną na dachu i ośmioma strażakami w zielonych kaskach i brezentowych mundurach.

Nerwy starodawnych ludzi nie wytrzymały. Strzelcy padli na ziemię, staruszek zacisnął oczy i rzucił się w krzaki bzu, a carewna objęła cienkimi rękami obszerną talię Aleksandry Jewgieniewny i zaczęła histeryzować.

Samochód zahamował, strażacy zeskoczyli na ziemię i przygotowali się do rozwijania węża. Sierżant wypadł z kabiny jak pocisk, po lśniącym kasku poznał swojego podwładnego i zawołał:

- Co się stało?! Gdzie pożar?!

- Dzień dobry, Spicyń - rzucił twardo Eryk i zapytał nieoczekiwanie: - Ufasz mi?

- Ufam - odpowiedział tak samo twardo sierżant. Obaj byli na służbie.

- Za benzynę zapłacę, a za fałszywe wezwanie poniosę odpowiednią karę - zobowiązał się Eryk. - Ludzie, których widzisz, trafili tutaj przypadkiem, nie z własnej woli. I padli ofiarą złośliwego oszusta. Okradł ich dyrektor domu wczasowego Degustatow i odjechał na koniu z drogocennymi przedmiotami o historycznym znaczenia i swoją współniczką.

- Znam Degustatowa. Spotykałem go w radzie rejonowej. Narusza zasady pepoż.

- Tak jest - zgodził się Eryk. - Trzeba go dogonić i odebrać mu ukradzione rzeczy.

- Mój posag... - chlipnęła carewna.

- Oho! - wykrzyknęli strażacy, którzy dopiero teraz zauważyli tę bajeczną piękność.

- Tak, posag tej dziewczyny - potwierdził Eryk.

- Pomożemy! - zawołali ochoczo strażacy i nie czekając na odpowiedź sierżanta, wskoczyli z powrotem do samochodu. Sierżant jeszcze się wahał.

- Pomóż, kniaziu Brandmajstrze - błagał staruszek Jerema.

- Pomóż, dobry witeziu - prosiła carewna. I dodała, zwracając się do dworaków: - Do nóg naszemu dobrodziejowi!

I wszyscy, którzy byli na podwórzu, znowu padli na ziemię, starając się dosięgnąć butów sierżanta, żeby błaganie zostało lepiej zauważone.

- No co wy, co wy, towarzysze... - spieszył się sierżant. - Naszym obowiązkiem jest pomóc ludziom, no, przecież nie odmawiamy... - Po czym twardym tonem rozkazał: - Do samochodu! Włączyć silnik!... W którą stronę pojechał przestępca?

- Do stacji Dalniebrodna - odparł Eryk. - To jedyna możliwość.

Podsadzili do kabiny staruszka Jeremę, Eryk wskoczył na stopień i ze strasznym rykiem wóz straży pożarnej pomknął przed siebie. Carewna, patrząc w ślad za nim, powiedziała do Aleksandry Jewgieniewny, z którą się już oswoiła:

- Ale Eryk miał najładniejszy hełm.

- Jesteś jeszcze młoda - ucięła Aleksandra Jewgieniewna. - Uczyć się powinnaś, a nie...

- Jestem już pełnoletnia - nie zgodziła się królowna. - A carewny nie muszą się niczego uczyć. I tak wszystko wiemy.

Koń Wiatr już pół godziny mknął z fantastyczną prędkością po biegnącej przez las niemal pusteje drodze, stukając kopytami i krzesząc iskry z asfaltu. Degustatowowi zdrętwiała ręka, musiał przełożyć kuferek na drugą stronę. Gałęzie drzew chłostały go po twarzy, nogi, nienawykłe do jazdy konnej, wyskakiwały ze strzemion. Koń złościł się i przygadywał:

- Nie umiesz, nie trzeba było siadać. Cały grzbiet mi obijesz.

- Milcz, bydle! - protestowała Anfisa, która przywarła do pleców Degustatowa i splótła ręce na jego okrągłym brzuchu. - Głównym przykazaniem zwierzęcia jest posłuszeństwo.

- Wszystko ma swój kres - mówił koń i słychać było, jak gra mu śledziona. - Wkrótce wyczerpie się moja cierpliwość.

Degustatow poczuł, że nie zdoła już dłużej trzymać kufereka i jechać konno.

- Prr! - rzucił, widząc łąkę ze stogiem. - Postój!

Zeskoczył ciężko na trawę, zrobił kilka niepewnych kroków i nie wypuszczając z rąk drogiego kufereka, runął przy stogu.

Anfisa usiadła obok niego. Koń Wiatr w milczeniu zgarnął wargami kępkę siana i zaczął żuć. Od czasu do czasu poruszał jedwabistym grzbietem i machał ogonem, oganiając się od komarów.

- Ale się narobiło - powiedział. - Wstyd ludziom w oczy spojrzeć.

- Musimy się dostać do stacji - rzekł w końcu Degustatow. - Tam wsiądziemy do pociągu i szukaj wiatru w polu.

- Do innego carstwa? - spytała Anfisa.
- Do innego carstwa nie da rady, nie mamy wizy. Urządźmy się w Moskwie. Tam mieszka mój kuzyn. Ciężki ten kufer, swołocz, wyrzuciłbym go.

- Nie wyrzucisz! - Anfisa była kobietą praktyczną i zdążyła pochować dwóch mężów, o czym Degustatow, rzecz jasna, nie wiedział. - Teraz to będzie mój posag. Chociaż i bez posagu dużo jestem warta.

- Zobaczymy - skomentował Degustatow. - Może by go otworzyć i porozkładać rzeczy po kieszeniach?

- Nie otworzymy - wyjaśniła Anfisa. - Klucz ma kniahini Pustowojt. Nie było kiedy wziąć.

- Co za sytuacja... - rozmyślał na głos Degustatow. - Ale nie było innego wyjścia. Przecież nie mogłem się z nią żenić; albo sąd, albo rozkład moralny. No nic, i tak już była najwyższa pora zmienić zawód. No, powiedz, Anfisa, jakie perspektywy może mieć dyrektor domu wczasowego?

- Żadnych - przyznała Anfisa, która pierwszy raz słyszała o domach wczasowych i perspektywach. - Jedziemy dalej? Na pewno nas ścigają.

Degustatowowi nie chciało się wstawać.

- Też coś! Czym nas dogonią?

- Nikt mnie nie dogoni - potwierdził ze spokojną dumą Koń Wiatr. - Mknę szybciej od wiatru. - Potrząsnął pięknym łbem i dodał: - Oczywiście, jeśli jeździec jest dobry, a nie taka oferma jak ty.

- Nie obrażaj Wani - wmieszała się Anfisa. - Teraz nie rozłączy nas ni ogień, ni woda. Prawda, Wania?

- Prawda. - Degustatow pogłaskał Anfisę po plecach. - Takie rzeczy będziemy robili, że strach. Kupimy dom w Pieriedelkinie i będziemy wynajmować pokoje.

- Widzisz? - Anfisa spojrzała na konia. - A na tobie będziemy wodę wozić.

- Oddamy go do cyrku za ciężkie pieniądze. W oddali rozległ się klakson.

- Co to? - Koń postawił uszy.

- To? - Degustatow wstał i podniósł kuferek. - Samochód jedzie.

- Pogoń?

- Może tylko przypadkiem przejeżdża.

I wbrew własnym uspokajającym słowom Degustatow wdrapał się na siodło. Anfisa podeszła bliżej i podała mu rękę, żeby pomógł jej wsiąść.

Doskonale widzieli biegnącą w dal drogę i gdy z lasu z rykiem wyskoczył samochód straży pożarnej i zaczął szybko zjeżdżać z pagórka, a z kabiny zamachał rękami staruszek Jerema, który poznał Konia Wiatra - Degustatow poczuł przerażenie i rozpacz. Nie spodziewał się po strażaku takiego sprytu. Sądził, że jego wrogowie będą dzwonić na milicję, a milicja pomyśli, że sobie robią żarty. I że wszystko to zajmie dużo czasu.

- Biegnij! - krzyknął do Wiatra.

- A ja?! - wrzasnęła Anfisa, czując, że źle się dzieje. Przez całe życie to ona porzucała innych, nikt do tej pory nie ośmielił się jej porzucić. - Przecież ci pomagałam, strzelca po głowie pantoflem biłam, dodawałam ci odwagi!

- Biegnij! - Degustatow udawał, że nie słyszy kobiety. Wiatr przestępował z nogi na nogę i wzdychał:

- Jakoś niezręcznie, Iwanie Juriewiczu. W końcu to kobieta.

- Bolivar dwojga nie przewiezie - odpowiedział mu Degustatow zdaniem z zapomnianego zagranicznego opowiadania. I uderzył obcasami w boki żrebca.

- Ech, parszywa ta służba! - Koń zaklął i ruszył.

Kuferek przeszkadzał Degustatowowi, uderzał w bok, z tyłu biegła po młodej trawie czarnowłosa kobieta szemachańskiej narodowości i obrzucała oszusta starodawnymi kłótniami, aż się koń wzdrzął. Ale Degustatow nie słuchał. Mknął do stacji Dalniebrodna i powtarzał:

- Żywcem mnie nie wezmą! Nie wezmą! Wiatr, czując, że pogoń się zbliża, przeszedł w cwał. Asfalt pękał pod potężnymi kopytami.

Wóz strażacki pędził, jakby się palił oddział noworodków. Syrena wyła, dzwonek dzwonił, strażacy wstawali z siedzeń i poganiali kierowcę.

- Ale łajdak! - Sierżant pokręcił głową. - Kobietę porzucił, współniczkę. Nic mu nie jest drogie.

- A nie mówiłem? - rzucił Eryk.

- Nic jej nie będzie - włączył się starszy Jerema. - To podła natura. Gdyby nie kontakty, nikt by jej do carewnej nie dopuścił. Może to nawet ona podsunęła Jelenie zatrute jabłuszko.

Wkrótce Anfisy nie było już widać. Koń, chociaż czarodziejski, zaczął słabnąć; wozie strażackim było ponad sto koni mechanicznych i Wiatr nie mógł z nimi konkurować.

Zza brzoź wyłoniła się ceglana wieża stacji pomp wodnych, po obu stronach drogi pojawiły się pola kartoflane z zeszłorocznymi roślinami i pierwsze zabudowania wsi. Ludzie wyskakiwali na podwórka i patrzyli zdumieni, jak tęgi mężczyzna na karym koniu ucieka przed strażą pożarną. Widzowie podzielili się na dwie grupy; jedni kibicowali straży, inni chcieli, żeby zwyciężył jeździec.

Przed samym peronem, na który dosłownie przed chwilą, w wyniku niesłychanego zbiegu okoliczności, podjechał pociąg i miał stać przez minutę, wóz dogonił konia. Wierzchowiec, posłuszny rozkazowi Degustatowa, wskoczył na peron i ruszył, strasząc spokojnych pasażerów, prosto do kasy.

Straż pożarna wyhamowała przed peronem. Strażacy zeskoczyli i rozbiegli się tyralierą, żeby złodziej nie mógł się nigdzie skryć. Degustatow zrozumiał, że nie ma czasu na kupowanie biletu.

- Stój! - krzyknął do konia i ten zatrzymał się, ale tak gwałtownie, chytrus, że Degustatow przeleciał przez koński kark i potoczył się po wydeptanych deskach peronu. Kufereka nie wypuścił.

Wstając, stracił cenne sekundy i wysoki młody człowiek w błyszczącym miedzianym kasku i dzinsach, który pierwszy zeskoczył z samochodu, znalazł się obok Degustatowa i odciął mu drogę ku drzwiom wagonu.

Doprowadzony do ostateczności Degustatow wyglądał strasznie. Na widok Eryka krzyknął do konia:

- Miecz, szybko!

Milicjant, który podchodził do miejsca zajścia z gwizdkiem przy ustach, stanął jak wryty. Wiatr potrząsnął łbem, ale musiał posłuchać. Za to sprytnie włożył Degustatowowi miecz w tę samą rękę, w której dyrektor trzymał kuferek z posagiem. Kuferek wylądował na peronie.

Pociąg już ruszał. Degustatow niezręcznie zamachnął się ciężkim mieczem, starając się jednocześnie podnieść kuferek i wskoczyć do pociągu.

- Odejdź, zabije cię! - krzyknął stary Jerema. - Miecz działa sam z siebie!

Eryk nie zwrócił uwagi na ten krzyk i rzucił się do przodu. Degustatow zrozumiał, że na pociąg już nie zdąży i zrozpaczony pchnął mieczem Eryka. Miecz swoim drapieżnym końcem już sięgał do serca strażaka, ale w tym momencie sierżant z pomocnikami, którzy zdążyli już rozwinąć wąż, puścili w Degustatowa silny strumień zimnej wody. Miecz wypadł dyrektorowi z ręki i uderzył w kuferek, rozcinając go na pół...

W drodze powrotnej do domu wczasowego Degustatow usprawiedliwiał się, zrzucając całą winę na Anfisę. Koń Wiatr biegł obok wozu strażackiego, zaglądał do środka i mrużył oczy, gdy strażacy chwalili jego sylwetkę i maść.

Eryk rozłożył na wolnej ławce posag z kufereka - dwa prześcieradła z cieniutkiego holenderskiego płótna, koszulę nocną z prawdziwego chińskiego jedwabiu, szklany kubek, bezcenny, jak twierdził dziad Jerema, w bajkowym carstwie, oraz różne inne rzeczy (o dużej wartości muzealnej), niezbędne dziewczęciu krwi królewskiej po ślubie.

Degustatow od czasu do czasu przerywał swoje usprawiedliwienia i spoglądał na przedmioty z nienawiścią; skórka nie warta była wyprawki.

Po drodze zabrali Anfisę, która siedziała w ponurym zamyśleniu przy drodze. Gdy tylko weszła do wozu, zaczęła obrzucać pretensjami Degustatowa. Pokłócili się ostro.

Koń zaglądał do środka i rżał głośno, a strażacy mówili:

- Niby źrebiec, a wszystko rozumie.

Zanim dojechali do domu wczasowego, strażacy zdążyli już poznać całą historię i teraz zadawali mnóstwo pytań, ponieważ bardzo interesowało ich starodawne życie. Jeśli dziad Jerema czegoś nie wiedział albo zapomniał, z pomocą przychodził Koń Wiatr, który wiele widział w swoim życiu.

Wóz wjechał na teren domu wczasowego na klaksonie.

- Ej, jest tu kto? - spytał głośno Koń Wiatr, który wyprzedził samochód, żeby jako pierwszy oznajmić dobre wiadomości. - Wychodźcie! Zwycięstwo!

Powitanie było bardzo radosne.

Potem pili herbatę, rozmawiali o przyszłości. Carewna zapytała staruszkę Jeremę:

- To teraz już mogę wyjść za mąż za Eryka? Eryk zaczerwienił się, a Aleksandra Jewgieniewna powiedziała surowo:

- Nie mów głupstw, Lenoczka. Jesteś na to za młoda.

- Srogie tu porządki panują - mruknął do carewny dziad Jerema. - Będziesz musiała z początku nauczyć się pisania i liczenia.

Drzwi otworzyły się, wszedł dyrektor muzeum i kilku krajoznawców.

- Gdzie są wychodźcy z przeszłości? - spytał dyrektor.